

Upadek w cieniu palm

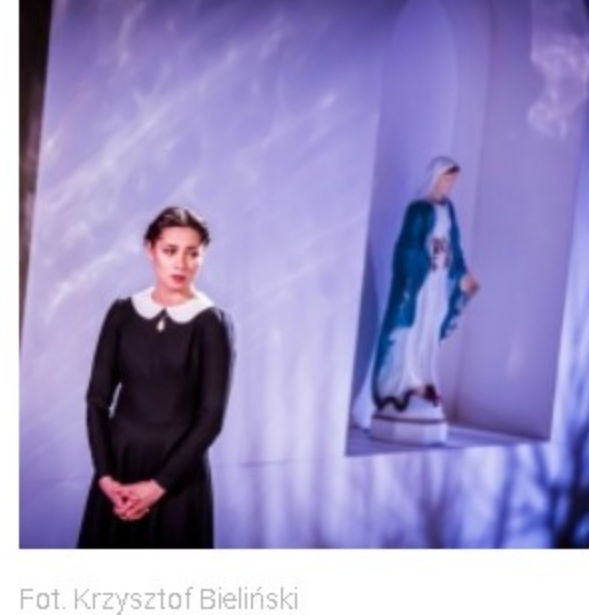


TOMASZ MOŚCICKI

Krytyk teatralny, dziennikarz. Absolwent Wydziału Wiedzy o Teatrze warszawskiej

Lubię to! 27

AA



Fot. Krzysztof Bieliński

W czasach, kiedy Stefan Żeromski pisał *Dzieje grzechu*, istniała pewna kategoria żartów uznawanych za tak nieprzyzwoite, że nie nadawaly się do opowiadania przy damach. Podobno jednym z nich był *bon mot* o młodej warszawiance, która straciła reputację. Panowie w surdutach, błyskając dwuznacznie cwikierami, opowiadali, że owa panna „wyszła z domu Hożą i Piękną, a wróciła Niecałą i Wspólną”. Cóż to za czasy, gdy nazwa ulicy nabierała jeszcze pikantnego posmaku.

Wybierając się na kieleckie przedstawienie *Dziejów grzechu*, a mając w pamięci i ową anegdotę, i bezkompromisowość oraz awangardową odwagę *Carycy Katarzyny*, obsypanej łośńskiego roku nagrodami i wyróżnieniami, można było liczyć na niejedno. To „niejedno” się nie wydarzyło – ale i tak jest co wspominać.

O przedstawieniu Michała Kocińskiego kieleckie media, te, co na papierze, i te, co na ekranie albo w radiowym głośniku, wypowiedziały tyle pochwał i zachwyty, że nam, skromnym recenzentom, na przyjeździe nie pozostaje nic innego, jak skłonić nisko głowę i cichym głosem dołączyć do chóru zadowolonych. *Caryca Katarzyna* to może nie jest, ale i tak *Dzieje grzechu* wpisują się jakże wdzięcznie w ciąg sukcesów kieleckiego teatru. I to na wszystkich polach.

Bo już wypada zacząć od dekoracji Barbary Hanickiej. Wielka scenografka dała nam bowiem dzieło-pokaz sztuki pod hasłem „coś z niczego”. W pierwszej części przedstawienia Matka Boska umieszczona wdzięcznie w białej niszy. Okolona cieniem wierz kościół strzegącego obyczajności. Na to wszystko pada z nadszcienia sztuczny śnieg. Śnieg także w wideoprojektacji, boć w końcu nowoczesne przedstawienie, oddające ducha naszych czasów, bez multimedialnego rzutnika jest nieważne. Wszystko to pokazuje zimny świat opresji rodem „spod figury”. „Matko Boska (wobec tego *entourage'u* skojarzenie przecie oczywiste) – mów do siebie człowiek – jakie to wreszcie proste!”. Wrażenie wzmagają się w drugiej części przedstawienia kiedy to Matkę Boską zastępuje rząd sporej wielkości sztucznych palm w udających drewno donicach, zaś po prawej stronie pojawia się symbol zepsucia świata doczesnego: kanapy w jaskrawoczerwonym kolorze (wiadomo przecie, co taki czerwony kolor znaczy...). I nic to, że takie meble zastawiają nasze sceny w tzw. odważnych przedstawieniach od dobrych kilkunastu lat. Nie są może już dziś zbyt nowoczesne, ale za to zaczynają być *vintage*.

Także i kostiumy wykreowane przez Annę Chadaj. Urzekły nas kreacje Ewy Pobratyńskiej, rewia krojów od notki po wampa. Niebieska sukieneczka z pierwszej części, kiedy to Ewa jest jeszcze „kobietą zblaknącą” – nie zrobiła na nas wielkiego wrażenia. Za to kostiumy z drugiej części, gdy Ewa jest już kobietą rozwiazłą, acz jeszcze nie upadłą... – ta polyskliwa mini, której nie powstydziliby się Twiggy AD 1968, te okulary w stylu Małgorzaty Braunek z Wajdowego *Polowania na muchy* – ale z czarnymi szklami... Tak, to czyni wrażenie. A potem jest mocniej. Ewa, już jako kobieta upadła, w kreacji à la Conchita Wurst, czyli opiętej, rozkloszowanej przy gruncie sukni, lecz w przeciwieństwie do pierwowzoru zrobiona na platynowy blond i bez brody, na długo zapadnie w naszą pamięć. Także i hrabia Szczerbic w czerwonej marynarce z kłapami niczym uszy afrykańskiego słonia. A przecie jest i Plaza-Splawski w groteskowej marynarce w pepitkę i przykrótkich spodniach – coś jak Korowiow z zupełnie innej powieści... Ale i Pochroń w skórzanej kurtce z frędzelkami jakby zszedł właśnie z planu *Nocnego kowboja*... Nie za bardzo tylko wiemy, co w tym barwnym towarzystwie robi Lukasz Niepołomski ubrany, jakby pożyczyl buty i spencerek od Bogumiła Niechcica z innego jeszcze kanonicznego tytułu – ale, jak rozumiemy, rzecz ma być ponadczasowa. W to wszystko ponętnymi biuśkami celują kariatydy z portalu sceny, umieszczone tam niemal 140 lat temu. Razem tworzy to wdzięczną całość w myśl zasady „małe, ładne i niedrogo”.

Zaś adaptacja Radosława Paczocha? Nowoczesna. Niekłopotliwe streszczenie, tzw. *flash* – Ewa zakochana, Ewa w ciąży, Ewa rozpustna, Ewa ladczyca. Nie ma co śledzić psychologicznych komplikacji, dzisiejszy widz szybko się nudzi, a i młodopolski język Żeromskiego nie do przejścia. Fakt, zaloty Pochronia, jego skamlenie „Już ode mnie, ptaszeczku nie uciekniesz, jużes ty cudo moje” towarzyszące brutalnemu gwałtowi nie brzmią dziś przekonująco. Są nawet cokolwiek nudne. Lepiej załatwić sprawę krótkim „będziesz moją suką” i nikt nie ma wątpliwości co do rzeczywistych zamiarów podlega, zwłaszcza gdy spuści spodnie – co jest zresztą konsekwentną zasadą tej inscenizacji. Obnażają się tu bowiem tylko panowie, Ewa P. choć zbrukana, to wciąż ubrana. Cokolwiek jednak szkoda. Po *Carycy Katarzynie* spodziewaliśmy się jeszcze mocniejszych wrażeń. W przedstawieniu Kocińskiego musimy się *volens volens* pogodzić z faktem, że sprawę goliżny damskiej załatwiają wspomniane już dwie kariatydy.

Zaś aktorstwo? Magda Grąziowska jako Ewa zagrała aż trzy kobiety. Trusia Ewa macha rękami w sposób zorganizowany, Ewa kobieta rozwiazła, acz jeszcze nie upadła pokazuje luz machaniem rękami w sposób nieskoordynowany i niedbałym krokiem, jakim zwykły przechadzać się współczesne kokoty z filmów klasy C. Jako kobieta upadła stoi i chodzi w sposób uznawany powszechnie za wysoce wyzywający. Intonacyjne fałszy nie mając wrażenia, że oto stoi przed nami kobieta zgubiona, nie taka sprzed stu lat, lecz zgubiona i zatracona współcześnie. We wdzięcznej pamięci pozostaje Szczerbic, którego Wojciech Niemczyk zagrał patentem „na hrabiego”. Polega on na staniu, jakby poślęno się kij, wspieraniu się z całej siły na lasce (choć ta w zamierzonych czasach Żeromskiego nie służyła młodym jako podpórka, ale jako rekwizyt eleganta) i bębnienu na jej galeczech palcami – co jako wiadomo oznacza u powściągliwego arystokraty najwyższe wzburzenie. Rehabilitacji postaci Plazy-Splawskiego dokonał Dawid Żłobiński. Zgodnie z zasadą „należy zawsze bronić swojej postaci” zagrał nie demona zła, ale... no właśnie – ta charakterystyczna monotonna intonacja, zawieszanie każdej kwestii „bez kropki” każą sądzić, że kielecki Plaza-Splawski jest ofiarą lekkiego umysłowego upośledzenia, przeto niezdolny jest do oceny swoich czynów. Zasluguje zatem na głębokie ludzkie współczucie. Pozostaje jeszcze wiarołomny Lukasz Niepołomski, który w pewnej chwili niespodziewanie staje się wszechwiedzącym narratorem. Andrzej Plata wyrecytował w tej roli niemiły opis topienia nowonarodzonego dziecka w kloace – bez zbytecznej emfazy i wewnętrznej napięcia, co jest nawet pewnym wyczynem. To podejście „nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało” zasługuje nieledwie na sympatię. Czasy mamy stresujące i bez takich okropieństw. Niepołomski co pewien czas pamięciowo potykał się o tekst, ale może jeszcze się nauczy.

Przedstawienie Michała Kocińskiego nie jest muzealnym tworem. Ma wszelkie atrybuty nowoczesności. Wspomnieliśmy już o projekcjach wideo, ale twórca zafascynowany możliwościami dzisiejszej technologii teatralnej sięga i po inne sprawdzone już wcześniej i tyle razy narzędzia. Brutalność zbiorowego gwałtu podkreśla głośna muzyka i światło tak dobrze już nam znanego z wielu innych równie nowoczesnych przedstawień i nieledwie pocziwego stroboskopu. Mamy też i niespodzianki, które mogą jednak zmylić, że oto przyszliśmy na przedstawienie w zupełnie innej reżyserii. Trzy ubrane elegancko goryle siedzą na czerwonej sofie, jakby zawędrowały na nią z przedstawień Mai Kleczewskiej – ta bowiem kocha przecież ludzi przebranych na scenie za zwierzęta – ale złóżmy to już raczej na konto nowoczesnego typu inscenizacji, jaką są niewątpliwie *Dzieje grzechu*.

A kończy ją strzał z browninga i Ewa Pobratyńska padająca na scenę. Upadkowi towarzyszy chichot widzów. Słusznie. W końcu dobrze jej tak.

No dobrze – zapyta czytelnik – a gdzie tu miejsce na uplasowanie tych *Dziejów grzechu* w tradycji wywiodzonej z pierwszych, niemych jeszcze adaptacji filmowych, perwersyjnie waleriańowych estetycznie i wciąż mimo wpływu czterdziestu lat moczego filmu Plateriańa Borowczyka czy – aby nie schodzić z gruntu *stricte* teatralnego – słynnej adaptacji Leona Schillera, po której w 1926 roku oskarżano dyrektora Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana (o samym Schillerze nie wspominając) o krzewienie niemoralności, rozwiązłość i „bolszewizm”?

Nie miejsce to, nie czas i nie okazja. Jeśli bowiem w kieleckim przedstawieniu Kocińskiego coś bulwersuje i naprawdę ma posmak nieprzyzwoitości – to jedynym takim elementem jest ów rząd plastikowych palm.

Jakie czasy – taki skandal.

2-02-2015

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach
Stefan Żeromski
Dzieje grzechu
adaptacja: Radosław Paczocha
reżyseria: Michał Kociński
ruch sceniczny: Cezary Tomaszewski
scenografia: Barbara Hanicka
kostiumy: Anna Chadaj
muzyka: Lubomir Grzelak
obsada: Magda Grąziowska, Andrzej Plata, Wojciech Niemczyk, Mirosław Bieliński, Marcin Brykzyński, Beata Wojciechowska, Beata Pszeniczna, Janusz Głogowski, Artur Słabon, Dagna Dywicka, Adrian Wajda, Andrzej Cempura, Ewelina Gronowska, Edward Janaszek, Lukasz Pruchniewicz, Krzysztof Grabowski, Dawid Żłobiński, Zuzanna Wierzbirska
premiery: 20.12.2014

TAGI: Michał Kociński, Barbara Hanicka, Radosław Paczocha, Cezary Tomaszewski, Stefan Żeromski, Lubomir Grzelak, Kielce, Teatr im. Stefana Żeromskiego, [Udostępnij](#) [Lubię to! 27](#)

S K O M E N T U J

Autor lub [zaloguj się](#)

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania: **trzy plus dziesięć** jako liczbę:

K O M E N T A R Z E (1)

| 2017-05-28 23:21:17 # Cytuj